

— Droga w każdym razie! Galopujesz się, a pamiętaj, że gra może być niebezpieczna! Delrue jest ostrożny! Odfotografuj przynajmniej ten kwit i podpis.

— Już zrobione, mój ojciec!

— Oh! widzę, że z ciebie mądra główka! Ale zawsze, pół miliona franków! Sądziś więc, żeby się hrabia z tą twoją „przeszkodą“ ożenił? Któż to jest?

— Młoda robotnica, wychowanka markizy.

— Ah! ta mała! Do dyabła! ładny buziak! Zazdrość popycha cię do rozrzutności. Możeby się to dało inaczej załatwić?

— Ojciec! Niema o czym mówić! Sprawa jest ważna! To, co Delrue musi zrobić, warte jest tych pieniędzy. To cena krwi, zbrodni.

— Ho! ho! To słowa, moje dziecko! Czcze słowa! Niema zbrodni, gdzie jest słuszność! Gdzie wchodzi w grę wielka kombinacja do przeprowadzenia! Zapamiętaj to sobie! Poszanowanie cudzego życia, to błaga! To nie istnieje. Na całym świecie ludzie codziennie się mordują, wydzierają z rąk egzystencję. Kto silniejszy, ten wygrywa. Gdybyś nie była silną, zniszczyliby cię. Ale zawsze pół miliona franków. To trochę za wiele!

— Trudno! Już się stało! Byłam wściekła! Bo teraz i ja także chcę, słyszysz, chcę! On musi do mnie należeć! — zawołała Sydonia z mocą, patrząc na ojca rozgorzałymi oczami.

— No dobrze, dobrze, córeczko — rzekł po chwili zastanowienia bankier, który chciał koniecznie dwa powodujące nim uczucia, miłość dla córki i pieniędzy, pogodzić z sobą w sposób ekonomiczny. — Będziesz mogła oddać kwit temu panu, a my zachowamy odbitkę. Będę go miał dalej w ręce. A markiz de Kermor zapłaci. He! co ty na to?

W tej chwili zapukano dyskretnie do drzwi gabinetu.

— Proszę wejść! — zawołał de Bressien.

Do pokoju wszedł woźny z niskim ukłonem.

— Pan Delrue pragnie koniecznie mówić z panem baronem. Przysłany jest od markiza de Kermor.

— Prosić!

Andrzej Delrue wszedł niezwłocznie i zmarszczył się z niezadowolaniem, widząc tu pannę Sydonię, z którą pragnął pomówić na osobności.

— Dzień dobry, panie Delrue — odezwała się bankierówna — Nie przeszkadzam ci, ojciec?

— Bynajmniej, moje dziecko. Ten kochany markiz przysłał pana do mnie? — zwrócił się do sekretarza.

— Aby uwiadomić pana o wypadku, jaki spotkał młodego hrabiego. Nic groźnego. Ale, gdyby pan baron lub pani pragnęli jakich wiadomości, to służę.

— Może pan mówić otwarcie, wyznałam wszystko ojcu — rzekła panna Sydonia, zbliżając się z ciekawością do młodego człowieka — No, mów pan! Przychodzisz z oznajmieniem, że przeszkoda już usunięta i żądasz nagrody, czy tak?

— Nie pani, jeszcze nie! — wymówił Delrue z zakłopotaniem.

Bankier, nie zdający się interesować rozmową córki z sekretarzem, uśmiechnął się z politowaniem.

— Ah! — szepnęła Sydonia niezadowolona — (jeszcze nie! Co się więc stało? Co opóźniło wykonanie?

— Właśnie wypadek hrabiego Henryka.

— Jaką mieć może łączność wypadek ten z wiadomą sprawą?

— Wielką, bo to jedno i to samo. Jak pani wiadomo, panna Janina le Brenn zniknęła z pałacu, a hrabia...

— Cóż hrabia?

— Hrabia, w którym umiałem wzbudzić podejrzenie i nieufność w cnoty tej pani, chcąc się ostatecznie przekonać, zaczął jej szukać i nie znalazł.

— Co dalej, panie Delrue, co dalej — przerwał bankier — to są słowa, a córka moja czeka na fakt.

— Ale wczoraj — kończył spieszenie zmieszany Delrue — panna Janina, którą kazałem śledzić od chwili zniknięcia jej z pałacu, wracała późno z roboty w dzielnicy Temple i tam napadła ją trzech rzezimieszków. Wszystko byłoby wzięło obrót pożądanym, gdyby na nieszczęście nie zjawił się był hrabia Henryk i nie rozgromił napastników.

— To wprost nieprawdopodobne! — zawołała Sydonia, mieniąc się ze wściekłości — Skąd się wziął hrabia w nocy w tej dzielnicy?

— Szukał panny Janiny le Brenn — odpowiedział już pewnym głosem Delrue, wiedząc, że tym argumentem poprawi sytuację swoją.

— A więc ta dziewczyna wie, że wybawcą jej był hrabia?

— Nie, proszę pani! Do tego nie dopuściłem! Wybawcą jestem ja!

Sydonia zamyśliła się.

— To trudno — odezwała się wkońcu — Trzeba robotę rozpocząć na nowo.

— To już jest zrobione, proszę pani — odpowiedział tryumfująco Delrue.

Bankier ciekawie spojrział na niego i wypuścił z rąk czytany dziennik.

— Jestem zmuszony mówić otwarcie — mówił dalej Delrue — chociaż może będę bezwzględny dla pani, panno Sydonio! Rzecz jest jasna, że hrabia Henryk walczy między obietnicą, daną ojcu w chwili porwy szlachetności, a miłością swoją nierozumną i głęboką dla tej Janiny le Brenn. Otóż lękam się, znając romantyczną i gwałtowną naturę Henryka, że miłość przeważy. On szuka tylko sposobu, aby zerwać małżeństwo z panią. Jeżeli ta mała zniknie, umrze, pozostanie w nim wspomnienie otoczone urokiem, niebezpieczne również dla nas, a kto wie, może Henryk nawet nie przeżyje tej straty. W każdym razie będzie dla pani straconym.

— Więc co robić? Jaka jest myśl pana? — zapytała Sydonia, nie spuszczać z oka swojego współnika.

— Myśl moja jest taka. Trzeba wyrwać z serca i umysłu Henryka tę miłość nierozważną, trzeba go przekonać, że ta dziewczyna nie dba o niego, że pod pozorem słodczy i niewinności kryje się zepsuta i wyrachowana dusza, słowem, trzeba zohydzić mu ten ideał, w który wierzy jeszcze.

— Usiłowałeś to pan już uczynić? — zauważyła Sydonia.

— Tak, ale tylko słowami. Teraz należy faktami przekonać Henryka, a wtedy stanie się mu ta dziewczyna obca i daleka, bo duma Kermorów nie pozwoli mu interesować się istotą upadłą i nikczemną. Kiedy wiara w jego ideał zgaśnie, zgaśnie i jego miłość. Znalazłem już sposób...

— Bardzo ładnie — przerwał bankier — ale ani słowa więcej. Sposób nas nic nie obchodzi, tylko skutek, a za ten skutek pan odpowiadasz, nieprawdaż? Idźże więc i działaj zrećnie i szybko!

Śmierć Kudłacza.

Delrue wyszedł uspokojony z kancelarii bankiera. Nowy jego zamiar nie został odrzucony. To, co chciał uczynić, to nie był przecież zamach zbrodniczy, który wcześniej czy później mógł go zaprowadzić do więzienia. Dostanie tak gorąco oczekiwane pół miliona franków, nie narażając własnej głowy, tylko przedtem należało ubiedzić markizę, która napewno zajmie się poszukiwaniem zaginionej dziewczyny. Wyczuł to dzisiejszej nocy, w tych kilku słowach; wymówionych nieostrożnie.

Musiał także upewnić się, czy Barykada nie zechce się pomścić i nie zażąda odszkodowania za rozwiązana umowę.

Popatrzył na zegarek.

— Mam czas, za dwie godziny załatwię się z tem. Skinął na przejeżdżającą dorożkę i kazał się wieźć do pana Colin-Megret.

Tym razem stary lichwiarz przyjął swego eks-sekretarza w grzeczny i uprzejmy sposób, wiedział bowiem, że tenże umiał się już stać potrzebnym bankierowi de Bressien.

— Ah! Drogi panie Delrue! — zawołał — Jakto ładnie z pańskiej strony, że przyszedłeś mnie odwiedzić! Sądziłem, że gniewasz się na mnie!

— Ależ przeciwnie! Uczyniłeś mi pan wiele dobrego, zapoznając przymusowo z baronem. Nie zapomnę panu tego nigdy! A teraz chce się pan dowiedzieć, dlaczego przyszedłem? Jestem zakochany i potrzebuję pańskiej doświadczonej rady.

— Oh! Oh! Zarty, kochany panie Delrue!

— Nie, nie żarty! Kocham się w młodej, ładnej dziewczynie i chcę ją ukryć przed niebezpiecznym rywalem.

— Panie Delrue, oto rada, graj pan w otwarte karty!

— Dobrze! A więc potrzebuję pomocy czcigodnej pani Collin-Megret.

— Nie znam takiej.

— Ofiaruję pięć tysięcy franków.

— To dla pani Wiktoryi może?

— Tak, dla niej.

— I drugie pięć dla mnie, o ile ta rada więcej nie warta.

— Wydusisz życie ze mnie, Collin-Megret.

— A de Bressien ci je przywróci.

— Mylisz się, on mi tylko wróci to, co wiesz, jeżeli sprawa się uda!

— W takim razie uda się. Chodźmy, Delrue, przedstawię ci pani Wiktoryi.

— — — — —
W pół godziny później Collin-Megret z zadowoloną miną odprowadzał Andrzeja Delrue do oczekującej na niego dorożki.

— Przejedziesz dzielnicę Temple — objaśniał Delrue stangreta — aż do ulicy St. Maur, potem skreślisz na lewo.

— Zrozumiane, obywatelu!

Na ulicy St. Maur Delrue wysiadł i wszedł do szynku, nad którym wisiał czerwony szyld z szumnym napisem „Życie paryskie“.

— Butelkę wina i dwie szklanki — rozkazał Delrue, siadając przy stoliku, przy którym siedział jakiś człowiek w bluzie.

— A, to pan! — rzekł tenże, odrywając oczy od czytanego dziennika.

— Tak, to ja, ze zleceniem od tej młodej dziewczyny, aby nie zdradzać nikomu adresu jej nowego mieszkania.

— A! Od tej, którą przeprowadzałem kiedyś... Już wiem. Sama mnie o to prosiła.

— A ja popieram tę prośbę — odpowiedział Delrue, wsuwając siłą w rękę posługacza złotą monetę — Bo widzicie, przyjacielu, biega za nią syn jej byłej chlebodawczyni i naturalnie w złych zamiarach.

— Widziałem go przedwczoraj. Wypytywał mnie i moich kolegów także. Ale nie pisałem ani słowa.

Delrue nalał pełną szklankę wina i postawił przed nim.

— Uważajcie, żeby was matka tego elegancika nie podeszła.

— Oh! Nikt ze mną nie poradzi, jak się zatnę. Pan się może chce żenić z tą panią! Bardzo dobra myśl i uczciwa.

— Tak, zgadliście i choć nie jestem bogaty, jak tamten, potrafię was wynagrodzić — mówiąc to Delrue pożegnał posłańca i wskoczył do dorożki.

— Teraz pojedziesz do rogu ulicy i zatrzymasz się, a potem odwieziesz mnie na ulicę Beotic. Dostaniesz dobry napiwek.

— Niech tylko pan długo tu nie bawi — zauważył dorożkarz — Ta dzielnica nie bardzo mi się podoba. Nie często tu widuję porządných ludzi.

Delrue szedł wąską uliczką do hotelu Ambasadów. Chociaż niegdyś przebywał w tych stronach dość często, jednak nie mógł oprzeć się odruchowi obrzydzenia, jaki nim wstrząsnął, gdy znalazł się w brudnym zaułku, zabudowanym jedynie niskimi, obdrapanymi domami, zamieszkałymi przez najuboższą i najniebezpieczniejszą ludność miasta. Z okien wyglądały blade, cyniczne twarze, noszące na sobie niezatarte piętno rozpusty, zbrodni i chciwości.

I nagle Andrzeja objęło szalone przerażenie na myśl, że będzie może kiedyś zmuszony powrócić do tego piekła nędzy i niedostatku, żyć z tymi ludźmi, od których stronił obecnie, a do których zbliżał się jedynie, zmuszony potrzebą. Jeszcze trochę cierpliwości i odwagi! Zdobyte złoto wynagrodzi go za te lata przeżyte w ciągłej obawie o jutro. Wtedy opuści Francję i w innym kraju żyć zacznie jako wolny i niezależny człowiek.

Otrząsnął się Delrue przemocą od tych myśli i wszedł do hotelu Ambasadów.

W brudnej, cuchnącej sieni siedział rozwalony na krześle człowiek o zapitej, prawie zidyociałej twarzy.

— Dzień dobry, ojciec Karolu!

— Oh! To pan, panie Andrzeju!

— Co tam nowego?

— Była u nas dziś w nocy brzydka awantura — odpowiedział szeptem właściciel mordowni — Pan wie o tem?

— Nie, skoro się pytam.

— Blagujesz pan! To twoja sprawa! „Zamówienie z ostatnich dni“. Dlaczego się kryć przedemną! Nie należę przecież do policji.

— Gadaj nareszcie, co się stało?

— To się stało, mój mały, że Kudłacz jest paskudnie „ruszony“. Zawezwałem doktora. Idź pan do niego. Znasz drogę, a zresztą to twój kompan.

— Zwykła znajomość, ojciec Karolu, zawarta, kiedy się jeszcze było biedakiem.

Delrue wcale nie miał ochoty odwiedzić Kudłacza, ale hotelarz już powstał i idąc ku schodom, zawołał tubalnym głosem:

— Hej! Numer trzynasty! Odwiedziny kompana!

Andrzej nie mógł się już cofnąć i rad nie rad, wspiął się po brudnych schodach na piętro.

Drzwi od numeru trzynastego były otwarte.

Delrue stanął na progu, przejęty wstrętem. Na łóżku nierozbranem leżał Kudłacz z rozpiętą na piersiach koszulą. Głowa jego do połowy ginęła pod zakrwawionymi bandażami, twarz napuchnięta, sina, z ust wybiegało głucho rżenie. Delrue odwrócił oczy i wzrok jego padł na małego, chuderlawego ulicznika Tota, o bladej, wyzywającej twarzy kłowna.

(Ciąg dalszy nastąpi).